

# Złoty cielec.

Powieść wysnuta z aktów kryminalnych.

F. Łęcki.

3

(Ciąg dalszy).

Pociąg stanął w Berghausen o jedynastej w nocy i tam wsiadł dr. Schwerdtner, z czego obaj podróżni byli bardzo niezadowoleni. Stwierdzono już, że morderca ubezwładnił chloroformem obydwu towarzyszy podróży, a w jakie dwie godziny po północy morderstwa dokonał. Cios zadany był ręką wprawna, z wielkiem wyteżeniem sił, szybko, śmiertelnie.

Zbrodniarz zabrał pugilares i zegarek z łańcuszkiem, zapewne dlatego tylko, aby zmylić poszlaki i nadać morderstwu znamię rabunku, albo też chciał dostać w ręce pugilares, w którym jego list był schowany.

Ani w korespondencji bankiera, ani w jego stosunkach z ludźmi, nie można było dopatrzeć się czegokolwiek, co by posłużyło do wyjaśnienia pobudek tej zbrodni. Morderca przygotował się do niej bardzo przebiegle i niczego nie zaniechał, aby zatrzeć wszelkie ślady po sobie. Nawet z podszywki kapelusza wydarł znak firmy.

Niezawodnie, po spełnieniu zbrodni, przeszedł do innego wozu i stamtąd, w innym już ubraniu, bez owego płaszcza, bez chustki na twarzy, bez owego olbrzymiego kapelusza, wyszedł spokojnie na jakiejś małej stacyi i zniknął niespostrzeżony, niepodejrzany.

Zarówno policja, jak i opinia publiczna interesowały się tem bardzo, z jakich pobudek to morderstwo popełniono. Dr. Schwerdtner i konduktor słyszeli najwyraźniej, że Döbel z towarzyszem podróży rozmawiał bardzo poufale, że obaj do siebie przez „ty“ przemawiali, ale nikt ze znajomych Döbela i nikt z jego oficjalistów nie słyszał nigdy, aby on z kimkolwiek w takim poufalem stosunku pozostawał. Przeciwnie nawet, bo aż do przesady był ceremonialnym i miał w sobie wiele pychy i wyniosłości dorobkiewicza. Nie można też było przypuszczać, żeby to było morderstwo dokonane przez zemstę, lub nienawiść, boć przecież byłby Döbel coś wiedział o tem, a bodaj przeczuwał, że w tym zagadkowym człowieku ma wroga i jego listem byłby się tak nie ucieszył.

Była więc w tem wszystkim jakaś przerażająca zagadkowość, trudna do rozwiązania nawet dla najwprawniejszych detektywów.

## IV.

Już drugi tydzień upływał doktorowi w domu barona Ellericha, a upływał nie bardzo przyjemnie, bo mu tu było nieswojsko. Raziła go zimna, wymuszona etykieta, brak mu było cieplej serdeczności potrzebnej ludziom nie zepsutym, a szczególnie sierocie.

Wyobrażał sobie, że człowiek, który mu tyle dobrodziejstw wyświadczył, nie będzie mu szczenił objawów życzliwości, że go przysparza po ojcowsku, jak ów zacny pastor opiekun z Berghausen. Baron był grzeczny, uprzejmy, ale tak zimny, sztywny, że Schwerdtner nie mógł pojąć, gdzie w tym człowieku mieści się dobre serce, do świadczania dobrodziejstw skłonne. Im dłużej poznawał barona, tem bardziej się przekonywał, że bywają dobrodziejstwa, które się czyni nie tyle z popędu serca, ile dla próżności, dla popisu, może i dla kaprysu.

I to go bolało. Ale jakże miał baron dla niego być cieplejszym w obejściu, skoro nawet dla własnych dzieci miał tylko chłód, tylko zimne, rachunkowe niemal zaspakajanie ich potrzeb. I to Schwerdtnera wprawiało w zdumienie.

Starszy syn barona, Gwido, porucznik huzarów, rzadko pokazywał się w domu. Zimny, sztywny, zawsze jakby znudzony życiem, miał w sobie coś wprost odstręczającego. Ten nie zadawał sobie nawet tego przymusu, aby grzecznym być dla kogośkolwiek.

Cała ta rodzina była dla siebie wzajem dziwnie obcą, dziwnie obojętną. Tylko uczeń doktora, czterastoletni August, był jakby z innej gliny ulepiony.

Całopieczyna z sercem, zdolny, żądny nauki, łańkał ciepła rodzinnego, a że go nie doznawał ani u ojca, ani u rodzeństwa, lgnął coraz bardziej do swego nauczyciela. I to była jedyna dla Schwerdtnera przyjemność i pociecha.

Baron przysłuchiwał się niekiedy lekcjom, a przy każdej sposobności wyrażał Schwerdtnerowi zupełne uznanie.

Pewnego dnia przybył także na lekcję, a wychodząc, rzekł od niechcenia:

— A, co ja to chciałem powiedzieć? Aha! dziś wieczorem będzie u nas przyjęcie; przyjdź pan do salonu, panie Schwerdtner, a przedstawię pana kilku wybitnym osobom, których protekcja może się panu przydać.

— Skorzystam z wdzięcznością z łaskawego wezwania pańskiego, ale nie dla szukania protekcji, z której nigdy w życiu korzystać nie myślę.

— Bardzo to piękne, co pan mówi, ale niepraktyczne. Późniejsze doświadczenia przekonają pana, że w dzisiejszych czasach protekcja jest największą potęgą.

— Zdawało mi się panie baronie, że jeszcze większą jest osobista wartość człowieka, jego praca i zasługa.

— Może w teorii, ale nie w praktyce.

To rzekłszy, uśmiechnął się baron nawpół ironicznie i na odchodnym dodał od niechcenia:

— Spodziewam się, że pana w salonie zobaczę.

Schwerdtner skłonił się i nic już nie odpowiedział. Nie bardzo go to nęciło znaleźć się wśród obcego świata, ale niepodobna było sprzeciwiać się baronowi, a przytem nasunęło mu się na myśl, że potrzeba mu wyjść z tego ciasnego kręgu życia, w którym się dotychczas obracał. Szkołę życia tworzy właśnie poznanie ludzi, stykanie się z nimi, lub ścieranie.

Skoro tylko wybiła oznaczona godzina, Schwerdtner wszedł na salony, znajdujące się na piętrze. Takiego przepychu nie widział jeszcze nigdzie i to go onieśmiewało. Byłby się może nawet i cofnął, gdyby nie to, że go baron spostrzegł i kilku panom przedstawił. Nie spodziewał się, że będzie poniekąd bohaterem w salonie. Skoro tylko usłyszało jego nazwisko, znane ze sprawozdań dziennikarskich o zabójstwie Döbela, tłoczono się ku niemu i zasypywano pytaniami o szczegóły tego wszystkiego, co widział i czego doznał. Gdyby mu wypadło raz tylko na liczne pytania odpowiedzieć, byłoby to nawet dla niego poniekąd spełnieniem obowiązku względem opinii publicznej, ale w miarę jak przybywały coraz inne gromady gości, ponawiały się zapytania, tak że już może po raz dziesiąty jedno i to samo opowiadać musiał.

Znudzony tem wszystkim i zmęczony, chciał już poprostu uciec z tego tłumu ciekawych, gdy nagle ukazał się nowy gość i w mgnieniu oka wszyscy ciekawscy, co otaczali doktora — posunęli się ku przybyłemu. Schwerdtner odetchnął i chciał wyszukać sobie jakiś kąt wygodny, z któregoby mógł swobodnie przypatrywać się towarzystwu, sam niespostrzeżony. Zaledwie postąpił dwa kroki, zatrzymał go jakiś młody, sympatyczny człowiek.

— Przepraszam, że pana zatrzymuję. Doktor Rummel. Niech się pan nie lęka, nie będę pytał o szczegóły morderstwa. Zdaje mi się, że pan woli obserwować, niż być obserwowanym. Nieprawdaż?

— Zwłaszcza w tej chwili, zmęczony tą inkwizycją, radbym istotnie znaleźć się gdzieś na uboczu.

Tymczasem w salonie formalnie tłoczono się i poblizko nowoprzybyłego gościa. I słychać było szeptem powtarzane:

— Snovard, Snovard!

— Kto to jest? — zapytał Schwerdtner.

— I pan ma odwagę przyznać się, że go pan nie zna? — odpowiedział, śmiejąc się Rummel. Ach! ta filozofia, jak ona swoich synów zaślepia. Każę im szukać prawd w niezmiennych przestworach myśli ludzkiej, wpatrywać się w słoneczne blaski geniuszów, a odwraca ich oczy od słońca dzisiejszego świata.

Schwerdtner nie zrozumiał tego żartu i ze zdziwieniem spojrzał na Rummela.

— Mój doktorze, czemu mi się pan tak przypatrujesz? Może się to panu wydaje zbyt allegoryczne, no to powiem panu prozą zwykłych śmiertelników: ten pan to słońce Berlina i królestwa bojaźni Bożej, czyli całych Prus, wraz z Brandenburgią i innemi dzierzawami dynastji Hohenzollernów. Jest to wielki Snovard.

— Wyraziłeś się pan tak ironicznie.

— Zdaje mi się, że na tę ironię i pan się zgodzi. Proszę posłuchać. Przybywa przed dwoma miesiącami do Berlina jakiś zagadkowy Amerykanin i w tym krótkim czasie nabiera takiego rozgłosu, że jego nazwisko powtarzają ludzie częściej, niż wzywają Pana Boga, że wszelkie ekscelencyje

cywilne i wojskowe biją mu pokłony, że giełda pozostaje pod wpływem jego skinienia, że oto tu w salonie orderami lśnią fraki i mundury wyprowadzają się w powitanii tego potentata.

— I skądże ten urok, to znaczenie tego człowieka?

— Pan o tem nie wie? To dziwne. Snovard posiada sto pięćdziesiąt milionów majątku; proszę pomyśleć, sto pięćdziesiąt milionów. Ja ich nie liczyłem wprawdzie, ale tak głoszą kapłani, czy apostołowie złotego cielca.

— I tylko ten majątek nadaje mu taką powagę, zjednywa takie znaczenie, takie poważanie?

— Jak pan widzi.

— Trudno wierzyć.

— Pan należy jeszcze do dawnej, przeżytej epoki wyobrażeń, pan jakoś po staroświecku zapatrauje się na życie.

Schwerdtnera zajął bardzo i ożywiła wesoła ironia dr. Rummela, wpatrywał się w niego ciekawie. Był to człowiek młody, liczący około lat trzydziestu. Pięknie zbudowany, o postawie okazałej, ruchy miał pełne spokoju, użycie salonowe. Twarz wyrażała owiewała cień smutku, chociaż na ustach igrał swobodny uśmiech; zdawało się, że ten człowiek izami własnymi się rozkoszuje. Myśląc, bystre oczy patrzyły śmiało, może nieco wyzywająco.

Schwerdtner powziął ku niemu sympatyę i rad go słuchał.

— Dlaczego pan wydał tak srogi na mnie wyrok, nazywając mnie staroświeckim człowiekiem? — zapytał żartobliwie Schwerdtner.

— Przypatrywałem się panu, a umiem dobrze przypatrywać się ludziom.

— Z mej powierzchowności zdołał mnie pan osądzić?

— Z pańskiego zachowania się, z pańskiego postępowania w tym tłumie... neofitów.

— Neofitów? Tego to już nie rozumiem.

— Ależ to przecie jasne. Ci ludzie zmienili wiarę w ideały niemieckie, na bałwochwalstwo pruskie.

Schwerdtnera to ubodło, był wszakże Prusakiem, więc spojrzał na Rummela z lekkim zakłopotaniem. Rummel spojrzenie zrozumiał i uśmiechnąwszy się pobłażliwie, mówił z większym ożywieniem:

— A, dziwi się pan, że mówię o pruskim bałwochwalstwie. Proszę nie brać mi tego za złe, i ja jestem Prusakiem, równie jak pan, ale obaj jesteśmy przede wszystkim Niemcami — a tylko przypadek zrządził, żeśmy się urodzili i wyrosli w tej części niemieckiej ojczyzny, która jest cieniem Niemiec, a nie światłem. Proszę pana cofnąć się wstecz o pół wieku. Niemcy były wtedy niemieckie i pod wielu względami przodowały Europie. Do naszych uniwersytetów zbiegała się młodzież wszelkich narodów, bośmy mieli znakomitych uczonych; u nas uczono się sztuki, ładu, porządku, sprawiedliwości. Nasza literatura ożywiła inne, nasza filozofia podbijała umysły całego świata. Ceniło nas, szanowano, po części może i słuchano. Byliśmy potęgą duchową, cywilizacyjną i cywilizatorską, i nie krzywdząc nikogo, nikomu nic nie odbierając, panowaliśmy ideałami nad połową Europy. Nie mieliśmy nieprzyjaciół, otaczały nas przyjaźń, lub bodaj poszanowanie sąsiadów. A dziś?...

Dziś jesteśmy tylko postrachem ludów; nienawidzą nas jedni, pogardzają nami drudzy, chociaż wszyscy się nas boją. Niemcy straciły dawne światło swego geniuszu, padł na nie cień prusactwa. Zamiast sławy uniwersytetów, mamy sławę koszar; nikt do nas po naukę nie pospieszy, bo czegoż się tu nauczyć? Bałwochwalstwa dla złotego cielca, czci dla „pikielhauby“, uświęcenia rozboju przez prawo, pychy dorobkiewiczów, urągania temu, co poprzednim pokoleniom było ideałem dziejowym. Nasi uczeni wielbią dziś siłę przed prawem, zalecają nam, abyśmy słabszym narodom rozbijali czaszki. Ej, panie doktorze, a toczy głowa pękła ze wstydu, a serce z żalu, gdyby nasi wielcy powstali z grobu i spojrzeli na dzisiejsze Niemcy. Dawniej Prusy należały do Niemiec, i my Prusacy karmiliśmy ducha niemieckimi ideałami; dziś Niemcy należą do Prus i przepadły ideały niemieckie, a zapanował kult dla wszelakiej siły, czy ona lęgnie się w bagnietach, czy w milionach amerykańskiego awanturnika, czy w zakręconych do góry wąsach sierzdzistego... kaprała. Przed pół wiekiem przyjmowanoby z taką uniżonością w salonach chyba jakiego wielkiego filozofa, poetę, a dziś bije się tu czołem przed... bankierem. Oto panie nasz neofityzm. Dawniej tworzyli epoki cywilizacji wielcy myśliciele, dziś tworzy je złoto. O, ten Snovard utworzy nową epokę — tak powiadają,